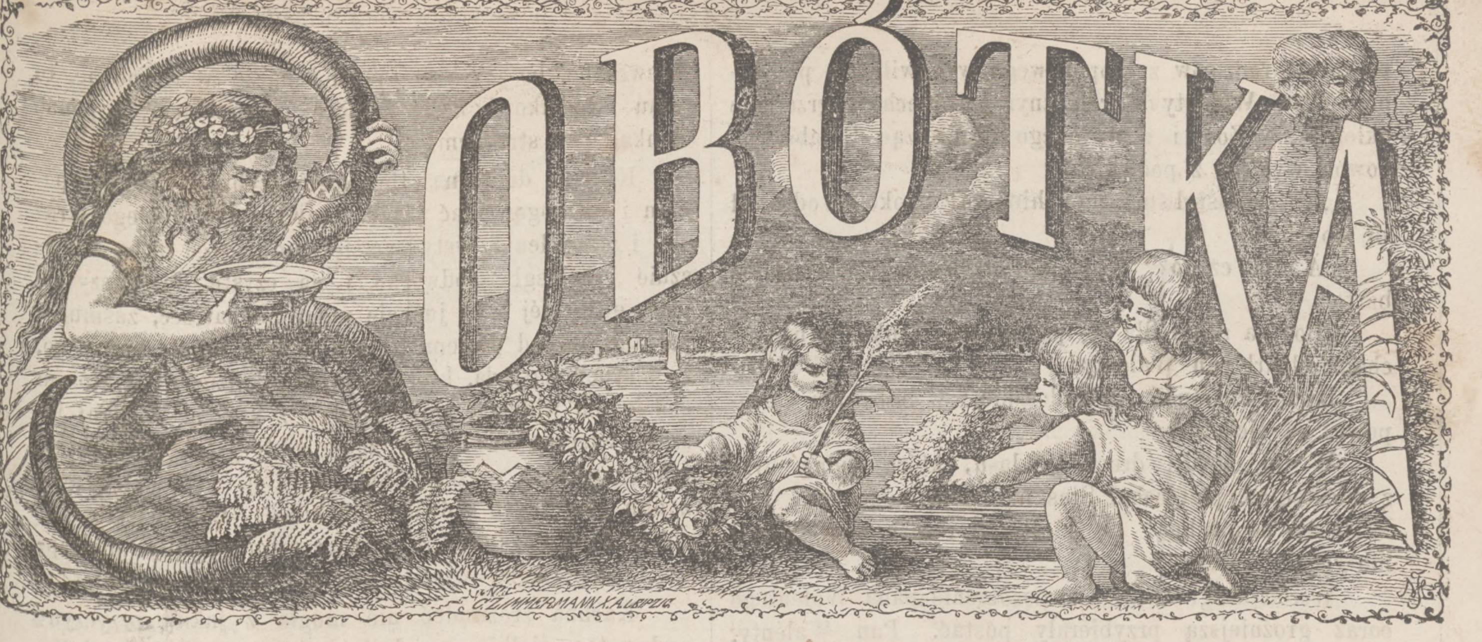


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 31. Poznań, dnia 30 lipca 1870. Rok II.

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Cząg dalszy.)

Stan w jakim się w téj chwili znajdowała dusza pana Walentego, jest jednym z najciekawszych objawów psychicznych Ten spokój, ta łagodność, to zazwyczaj wpływ bezpośredni, jaki nieszczęście na namiętnych i czarnych wywiera charakterach. Charaktery te pewnego, że tak powiem, potrzebują czasu, aby cały ogrom nienawiści gniewu i bólu zebrać iześrodkować w swém sercu i dla tego przed wybuchem uczucia następuje u nich spokój grobowy, okropny, który porównać można z tym uciążliwym spokojem, jaki przed nadejściem nawałnicy całą ogarnia przyrodę.

Ksiądz proboszcz nie był biegłym psychologiem; spodziewał on się ze strony pana Walentego bardzo burzliwéj odpowiedzi, spokojność i delikatność, z jaką się spotkał natomiast, uważał za cichą chrześciańską rezygnację i wzruszony widokiem tak potulnéj ofiary, pożałował swéj niwczesnéj porywczości.

Tłomaczyć się ze swoich uczynków, zwłaszcza przed ludźmi, którzy wymagać tego nie mieli prawa, nie było nigdy jego zwyczajem; teraz jednakże chciał błąd swój naprawić cokolwiek i boleść pana Walentego niezwykłémi ułagodzić względami.

„Panie Walenty,“ rzekł więc dobrotliwie, poufale przysiadując się do niego, „pan jesteś, jak widzę, człowiekiem spokojnym i rozsądnym i z zimną krwią będziesz mógł osądzić, jak słuszne posiadam powody. Szczęście i zgoda w małżeństwie, mój łaskawy panie Walenty, zasadza się jedynie na przewadze męża nad żoną; mąż, który rozumem i wykształceniem niższym jest od żony, w krótkim czasie traci szacunek jéj i miłość, a w takich warunkach małżeństwo nie może być szczęśliwém. Otóż przyznasz mi, panie Walenty, bo żadnéj nie ma w tém hańby, że syn twój, chociaż najlepszym może być człowiekiem, nigdyby nad moją siostrzenicą téj koniecznéj nie uzytkał przewagi. Nie jest to niechęć ku tobie, mój łaskawy panie Walenty, która mnie do tej szczeréj powoduje odpowiedzi, ale troskliwość o szczęście méj Zosi i o szczęście twego syna nakoniec!... Chociaż całą moją parafją kocham i szanuję, każdemu prawie z obywateli dla tych samych odmówiłbym powodów, bo szczerze mówiąc, mój panie Walenty, jakaż tu stosowna partja dla méj siotrzenicy?... Czy możesz mi teraz zarzucić cośkolwiek?“

„Nic!“ lakonicznie odpowiedział pan Walenty, skłonił się uniżenie i zwolna wyszedł z pokoju, uprowadzają ze sobą szanowną połowicę, która jeszcze do umysłowéj nia powróciła równowagi.

Tymczasem Bałabartek w przykrém znajdował się położeniu. Stał on sobie spokojnie przy bramie, skrzyżował ręce na piersiach i mrucząc jakąś piosenkę, proboszczowskim przypatrywał się budynkom, kiedy nagle wbiegając na podwórze tuż obok niego pojawiła się Zosia. Zosia domyśliła się z łatwością powodów téj samotnéj stójki, a przypomniawszy sobie wczorajszą komedyjkę, zawstydziła się niemało i skubiąc koniec fartuszka, ruszyć nie mogła się z miejsca. Bartoś, nie przygotowany na podobne spotkanie, zapłonił się jak piwonja i milcząc miętosił kapelusz. Szczęściem nagle

przybycie rodziców z kłopotliwego wybawiło go położenia. Pan Walenty z ironicznym uśmiechem grzecznie ukłonił się Zosi i zdziwionego prowadząc Bałabartka, powoli wyszedł z podwórza.

„Kosza dostaliśmy, mój chłopcze!“ spokojnie odezwał się po chwili.

„A dla czego?“ z niedowierzeniem zapytał Bałabartek.

„Boś za głupi dla téj panny, mój synku“ z uśmiechem odparł pan Walenty.

Bartoś zasmucił się widocznie i w milczeniu postępował za ojcem.

W téj chwili, drogą od lasu, która widną była z miasteczka, przejechał Staś na swym gniadoszu. Pan Walenty uśmiechnął się złośliwie i znacząco pogroził mu ręką.

Wśród drogi twarz i usposobienie pana Walentego coraz groźniejszą przybierały postać. Pan Walenty, zwolna do normalnego powracając stanu, zwolna obliczając następstwa swéj klęski drzał wewnątrz z gniewu i żalu. Nieszczęściem, zbliżywszy się do mieszkania, ujrzał w sąsiedniem domostwie, w maleńkiem pierwszego piętra okienku, szyderczo uśmiechniętą twarz pana Filipa. Był to cios najboleśniejszy zapewne!...

Pan Walenty wszedł z żoną do saloniku i zapominając o zwykłém uszanowaniu, popuścił wodze swéj rozpaczy.

„A nie mówiłem ci tego, kobieto!“... krzyknął, gwałtownie chodząc po pokoju. „Nie przepowiadałem od razu, że nas z kwitkiem odeślą do domu!...

Oto masz teraz owoc twego babskiego rozumu!... Całe miasto wyśmiewać nas dędzie, a plotek, a przygryzków, a słówek uszczypliwych to mieć będziemy po uszy!...

Pani Petronela milcząc słuchała niesłusznych po części wyrzutów. Duch jéj złamał się pod tak potężnym ciosem, nie mogła ani gniewać się, ani płakać.

„Ho, ho, ho, księżyczku!“ krzyczał daléj pan Walenty, „odpłacimy się sowicie za tę sztuczkę!... Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, jak mnie kto poczęstuje, tak i ja go potraktować nie zapomnę!. Już ty się na raz drugi lepiéj obchodzić będziesz ze mną.... O, i panu Filipkowi wywdzięczymy się przy sposobności, bo jak Bóg w niebie, tak i on się przyczynił do tego...

Nie ujdzie mu to, nie ujdzie!...

W téj chwili zaciekawiona Kachna cichaciem wcisnęła się do pokoju.

„Dziewczyno!“ krzyknął pan Walenty, groźnie stając tuż przy niéj, „czy nie mówiłem ci wczoraj, żebyś mi się z tym Kubą w żadne nie wdawała rozmowy!... Czy chcesz, żebym ci ten rozkaz dobitniéj powtórzył raz jeszcze!...

Kachna przyzwyczajoną była do podobnych ze strony ojca wybuchów, tą razą jednakże serduszko zadrżało jéj w piersi i łezka zakręciła się w oku. Dla czego?— tego zapewne sama wytłomaczyć sobie nie mogła.

„Ależ przecie od wczoraj, mój ojcze,...“ nieśmiałym tłomaczyła się głosem.

„Nie kłam mi tylko, dziewczyno!“ groźniéj zawołał pan Walenty. „Widziałem jakżeście na progu jakieś miny stroili do siebie... Strzeż mi się, oj strzeż się, dziewczyno, bo jak was znowu zobaczę w rozmowie, to temu młodzikowi kości policzę na grzbiecie, a pannę zamknę pod strychem!...

Kachna, drząc na całem ciele, szybko wybiegła z pokoju i niemogąc zdać sobie sprawy z niezwykłego strachu i rozczulenia, wstydząc się sama przed sobą, spiesznie przebiegła podwórko i na czyste dostawszy się pole, gdzie jéj nikt już nie mógł podpatrzeć, zasmucona stanęła pod płotem. I cóż w tém mogło być złego, że z synem sąsiada, którego znała od dziecka, z którym codziennie widywać sie musiała, z którym wczoraj jeszcze wieczną zawiązała zgodę, który tak uprzejmym, tak grzecznym wczoraj był dla niéj, — cóż złego, że z nim obojętnych mówiła słów kilka? Cóż ojciec zarzucić może Kubusiowi?... Jest przystojny, miły, dowcipny,... dla czegóż więc z nim rozmawiać niewolno?...

Kachna zrozumieć nie mogła z jakiéj przyczyny rozkaz ten wielkim napełnił ją smutkiem. Przed kilku jeszcze dniami, z własnéj woli ani spojrzeć nie chciała na Kubusia, a teraz czuła wyraźnie, że wypełnić tożsamo za rozkazem ojca nie małą dla niéj będzie przykrością. Biedne dziewcze w najsprzeczniejszych pogrążone uczuciach, boleśnie spoglądało przed siebie, a łezka za łezką mimowolnie spływała na lica. Dziwne to serce kobiety!...

Pan Filip, spostrzegłszy z okienka tak szybki powrót Matusińskich, domyślił się zupełnéj porażki. Z radością zatarł więc ręce, przygwizdując wesoło, z pośpiechem pobiegł do sklepu i w sieni ze zamyślonym spotkał się Kubusiem.

„Górą nasza, mój chłopcze!“ zawołał, głaszcząc go po twarzy. „Matusińscy dostali koszyka, a panienkę masz już w kieszeni!... Tylko zgrabnie i zwolna, mój chłopcze, nie za śmiało, nie za prędko, bo łatwo pośliznąć się można...

Proboszcza ja już wezmę w roboty i wszelkie załatwię trudności!...

To mówiąc, uradowany pan Filip żwawo poskoczył do sklepu.

Kubusiowi w téj chwili czarne Kachny oczęta zaświeciły w pamięci, serce ścisnęło się żalem i biedak zasmucił się mocno. W zamyśleniu przeszedł przez sionkę, przeszedł przez obszerne podwórze i jak gdyby przeczuciem wiedziony, przez drzwiczki wyszedł na pole. Widok zadumanéj Kachny obudził go z zamyślenia. Niespostrzeżony zbliżył się ku niéj i ujrzał łzy na jéj twarzy.

„Co tobie, panno Kasiuniu?“ zapytał skwapliwie chwytając białą jéj rączkę.

Kachna zadrżała z przestrachu i odwracając twarzyczkę, chciała się wyrwać i uciec.

„Co tobie, powiedz mi, panno Kachno?“ powtórzył Kubuś, bliżéj przyciągając ją ku sobie.

Kachna spojrzała na niego przelotnie. Tak jéj się pięknym, tak miłym wydawał w téj chwili, że dziewczęciu łezki strumieniem spłynęły po licach.

„Puść pan,“ drżącym szepnęła głosem. „Ojciec nie pozwala rozmawiać mi z panem i gdyby nas razem zobaczył miałabym znowu co słuchać!“...

I ty płaczesz dla tego, panno Kasiuniu?“ zawołał

Kubuś z widoczną radością na twarzy, „ty mnie kochasz, nieprawda?.“

Kachna szkarłatnym splonęła rumieńcem, ale uciekać nie miała już siły.

Pana!“ zawołała z wymuszoném szyderstwem, nie patrząc wcale na niego „pana mam kochać, coś mnie zawsze dręczył i prześladował dotychczas!...“

„Ja ciebie kocham od dawna, panno Kasiuniu!“ żywo zawołał Kubuś, biorąc małą jéj rączkę. Byłem złośliwy, przyznaję bawiłem się twoim gniewem, twoją zemstą, ale w sercu kochałam cię zawsze!...“

Słowa te odkryły Kachnie tajemnice źródło jéj uczucia. W wiecznéj żyjąc z nim wojnie, wiecznie pokonać go usiłując, razem z myślą i serce zwróciła ku niemu, a uczucie to, którego początkowo wytłomaczyć sobie nie mogła, właśnie teraz, w tak nieprzyjaznych okolicznościach w gorącą zamieniło się miłość. Dla czegoż Kachna w téj chwili z tak upragnionego nie korzystała zwycięztwa?... dla czegóż pokonanego przeciwnika zimnem nie ukarała szyderstwem?... Niestety świetny ten tryumpf własną okupiła wolnością!...

„Tak, ty mnie kochasz, panno Kasiuniu!“ szepnął jéj Kubuś na uszko, „a choćby rodzice rozdzielić nas chcieli, my nie rozłączymy się już nigdy!“

Kachna, uśmiechnęła się rozkosznie i łzawe podniosła nań oczy.

Pod wpływem tego wejrzenia Kubuś do reszty utracił przytomność i na małéj jéj rączce gorący wycisnął pocałunek.

Zawstydzoną Kachnę straszna w téj chwili ogarnęła trwoga. Gwałtownie odepchnęła go od siebie i rączkę z jego silnéj chciała wydrzeć dłoni.

„Od dzisiaj codziennie widywać się będziemy, nieprawdaż?“ zawołał Kubuś błaganie, puszczając dłoń jéj maleńką.

„Codziennie, codziennie!“ skwapliwie wyszeptała Kachna i, rączką posyłając pożegnanie, szybko pobiegła do domu.

Kubuś w rozkosznéj zadumie dlugo pozostał na miescu....

Pan Filip tryumfował w téj chwili!....

Kaplica Zygmuntowska.

w Katedrze Krakowskiéj

Wystawił ją Kazimierz Wielki pod tytułem Wniebowzięcia N. Panny, lecz Zygmunt I używszy architekta Bartholomeo Florentino na nowo ją odbudował, a syn jego August i córka Anna przyozdobili z całą okazałością włoskiego gustu i sztuki, a z powagą i bogactwem naszych przodków, tak że ta kaplica stanowi jednę z najpiękniejszych ozdób katedry krakowskiéj, dla tego jéj też nieco obszerniejszy opis poświęcimy.

Kaplica Zygmuntowska zbudowana jest cała z ciosowego kamienia w kwadrat. Wnijście do niéj zamyka bronzowa balustrada wzór sztuki odlewania; za nią są ozdobne kamienie odrzwia, a nad nią trzy starożytne obrazy z odpowiedniemi napisami, dwa boczne wystawiają Annę Jagiellonkę, raz w królewskim stroju, drugi raz we wdowim ubiorze, środkowy przedstawia ojca jéj Zygmunta I w ponsowéj szubie. Na okazałych złoconych ramach tego obrazu, wyrobione są 12 herbów województw składających ówczesną Polskę.

Tak wspaniałe i piękne wnijście jest niczém w porównaniu tego, co jest wewnątrz kaplicy. Jéj ściany z piaskowca, przybrane są w piękną szatę stylu odrodzenia (rénaissance) co przejął w Polsce nazwę Zygmuntowskiego. Na zaokrągleniach okazaléj jéj kopuły rozrozpościerają wartkie skrzydła orły polskie i pędzą łotne rumaki litewskiéj pogoni. Każda ściana przedzielona jest na trzy części przez pilastry podobnie jak ściany strojne genialnéj rozmaitości rzeźbą. We wnękach półokrągłych stoją posągi świętych, a po nad nimi są wypukłéj rzeźby medaliony Ewangielistów, pierwsze i drugie wydłócone z marmuru czerwonego.

W ścianie lewéj jest ołtarz nieocenionéj wartości bo kosztowny jako srebrny, kosztowniejszy jako piękne dzieło sztuki złotniczéj i malarstwa, a najkosztowniejszy jako historyczna pamiątka, po dobrym naszym Zygmuncie I, którego bywał obozowym ołtarzem. Ma on wysokości 4 łokcie, a trzy szerokości, jest cały srebrny szafiasty. Na drzwiach jego gdy jest zamknięty widać 15 na drzewie malowanych obrazów z życia Chrystusa Pana piękny a rzadki zabytek szkoły szkoły florenckiéj z XVI wieku, a w otwartym 12 obrazów srebrnych wykutych nadobnie z zadziwiającą cierpliwością ręką Alberta Glim z Norymbergu. Na ścianach bocznych ołtarza są wykute orły Zygmuntowskie, w środku zaś podstawy jest napis że w roku 1538 ołtarz ten wystawił Zygmunt 1 król polski, z boku medaliony Zygmunta I i II królów polskich.

Przy ścianie przeciwnéj ołtarzowi w przedzieloném polu dwiema arkadami, są wystawione z czerwonego marmuru dwa grobowce: w wyższéj arkadzie Zygmunta I, w niższéj Zygmunta Augusta. Jak wszystko tu piękne, okazałe i gustowne. W obu na trumnach leżą posągi tych zmarłych królów, w których szczególniéj zajmuje ten wyraz w twarzach tak trudny do oddania, a tu tak oddany, że nawet w twarzy Augusta rozpoznasz smutek, którym okrytą była od zgonu ukochanéj Barbary.

Na prost wchodu jest piękny grobowiec Anny Jagiellonki żony Batorego z czerwonege marmuru, z wypukłą rzeźbą przedstawiającą całą osobę téj ostatniéj Jagiellonów latorośli zgasłéj dnia 9 września 1596 roku.

W grobie pod tą kaplicą spoczywa w sarkofagu kamiennym Zygmunt I zmarły roku 1548. Wewnątrz sarkofagu jest mała trumienka syna jego Alberta razem z nim pochowanego, a po lewéj stronie grobu leży Zygmunt August zmarły roku 1572 w trumnie cy-

nowéj, piękną wypukłą rzeźbą okrytéj. W podobnéj trumnie z drugiéj strony leży Anna Jagiellonka żona Batorego, po za trumną Anny stoi cynowa bez ozdób i napisów Barbary Zapolskiéj, dla któréj i grób ten i tę kaplicę wystawił jéj małżonek Zygmunt I — a razem z zwłokami matki spoczywa jéj czteroletnia córka.

Kopułę téj kaplicy okrywa dach miedziany w łuszczkę szczodrotą królowéj Anny w roku 1595 tak wyzłocony, iż dziś jeszcze gdy promienie słońcá nań padną, świeci jasném światłem, jak gdyby chciał przypominać świetność wieków Zygmuntowskich. Na zewnętrznéj ścianie téj kaplicy jest taki wykończony piękną rzeźbą orzeł Zygmuntowski.

Wszedłszy na powrót do kościoła zaraz po za jego bramą południową, jest tablica marmurowa okolona godłami wojskowemi, na któréj napis ogłaszający zwycięztwo Jana III pod Wiedniem, zawiadamia że ten król na Watykanie zawiesił dwie chorągwie na turkach wtedy zdobyte, a trzecią wielkiego Wezyra na grobie św. Stanisława zamieścił. Ta chorągiew była jeszcze r. 1785, dopiero późniéj gdzieś ją zatracono.

Wspomnienie z podróży.

(Cząg dalszy).

Dziecię wzrok wodziło od matki do mnie, odemnie do matki, wzrok jakby już osoby dojrzałej, zarazem poważny i niepewny. Ono było......ale po cóż wskrzeszać te wspomnienia które oddawna staram się napróżno zatrzeć w pamięci.

— Nagle matka pobladła. — „Ale czy ono bardzo cierpieć będzie?....

— „To zależy od pani.“—

— „Coż pan chcesz przez to powiedzieć?

— Wytłomaczyłem jéj, radząc użycie chloroformu, który wtenczas był wynalazkiem zupełnie nowym. —

— „Ale niema niebezpieczeństwa? zapytała matka. —

— „Najmniejszego w świecie; służy on tylko do ubezwładnienia zupełnego członków w czasie operacyi. Rozumie pani dobrze, jak jest trudno wymódz na dziecku ażeby ono pod skalpelem operatora zachowało się spokojnie; a z drugiéj strony jak bardzo chodzi temu ostatniemu o zabezpieczenie się przeciw wszystkim poruszeniom mogącym skompromitować powodzenie.“ —

— „W ogólności ma pan słuszność“... ale niema pan pojęcia, ile to małe stworzenie ma cierpliwości i jak jest posłuszne gdy tego potrzeba wymaga. — Dla podobania się mnie, zniesie ono wszystko na świecie bez skargi.... Już go raz w tenże sposob torturowano, ale bez skutku.... Jednakże, jeżeli mi pan zaręczysz, że nie ma niebezpieczeństwa...wolałabym mu oszczędzić cierpienia.... Biedne dziecię!... biedny aniołek!...

— „Zechciéj rozstrzygnąć sama pani, naturalnie mając wzgląd na konstytucyę dziecka. Jeżeli ono jest bardzo osłabione....

Nieznajoma nie pozwoliła mi dokończyć zapewniając, że dziecko, prócz kalectwa nagle powstałego, które przypisywałaby prędzéj wypadkowi, niż wadzie organicznéj, było zawsze zdrowe. — „Pan jesteś za młody“ dodała, „żebym panu opowiedzieć miała życie i warunki w jakich to dziecię na świat przyszło; gdyby nie to wytłomaczyłbyś pan łatwo jego nadzwyczajną cierpliwość i władzę jaką mam nad niem“

Tego punktu drażliwego o którym sama wspominała, niechciałem dotykć — w odpowiedzi więc zapytałem, dla czego już dawniéj nie przyprowadziła dziecka tutaj — „Mój Boże“ odpowiedziała naiwnie, „przed trzema tygodniami po raz pierwszy mówiących o panu słyszałam.“...

O mnie, przypuszczam jeszcze, byłoby to nawet bardzo naturalne; ale o doktorze R...! to mię rozgniewało do tego stopnia, że kiedy następnie starała się przekonać jak dalece dziecię było jéj drogiem, słuchałem z nieuwagą i rostargnieniem. W krótce zupełnie na nią niezważałem. Wiem że coś mówiła i że dziecko oczu zemnie nie spuszczało, ale myśląc o przyszłéj operacyi uwagi na to niezwracałem. Kiedy krew zimna wróciła spostrzegłem w tenczas dopiero wszystkie przeszkody na drodze stojące... na drodze „w którą z taką lekkomyślnością puściłem się. Najprzód, czy uzyskam na to przyzwolenie doktora R...? On mi nieraz mówił, — pamiętam to dobrze: trzeba operacyę podobną wyprobować na dziecku z gminu, silnéj organizacyi i którego życie, jeżeliby miało być poświęcone, byłoby stratą niezbyt wielką lub żadną......

W głębi jednak serca, oskarżałem doktora o wygórowaną nieufność. Powodzenie, w ręku takiego jak on mistrza, zdawało mi się rzeczą z góry zapewnioną. Scyentyficzne rozumowania czyż nie dają równie pewnéj gwarancyi jak prawa natury; dziwił mię więc ten brak ufności w siebie człowieka, o tyle wyżéj w doświadczeniu stojącego odemnie.

Zdawało mi się chwilowo, żem przewyższył mego nauczyciela; przypuszczałem bowiem, że powolnośc i dobroć jego stoi na przeszkodzie działaniom czystéj inteligencyi; ale niech no by się on tylko otrząsł z tych próżnych skrupułów i wziął się do dzieła, jestem pewien że nikt by z równą zręcznością i odwagą nie oddał takich usług. —

Ostatnim skutkiem tych rozumowań był ten, że nie należy pokazywać dziecka profesorowi, który bezwątpienia znalazłby je za wątłe i za słabe do podobnéj operacyi; a jeżeliby jeszcze słyszał opowiadającą matkę o przywiązaniu do dziecka, o sile węzłów łączących ich z sobą, o smutnych następstwach nieszczęśliwego wypadku, to o przeczącéj decyzyi wątpić nie można było. O! jakbym widział zacnego starca, wzruszonego i niespokojnego; on by pierwszy odradzał i rzekłby z tą właściwą sobie opryskliwością, pod którą umiał ukryć wrażliwość i czułość wielką: „Nie trzeba żadnych prób robić kochana pani! Lepiej miéj dziecię kulawe, niż nieżywe... bo ja szczerze mówiąc za nic nie ręczę... Jeżeliby się nieszczęście stało, ani pani ani ja pocieszyć się niebylibyśmy w stanie.....

A ta matka, tak bojaźliwa, tak słaba, tak mało rzymianka, tak nieczuła na cuda nauki, cóżby powiedziała?. Czyżby przypuściła na chwilę, że małe jéj dziecię jest zaledwie źdźbłem na szali gdzie się ważą przeznaczenia ludzkości? czyżby chociaż pośrednio interesowała się rzadkiem doświadczeniem któreby naukę medycyny naprzód popchnąć mogło. Próżna nadzieja! Miłość egoistyczna zrobiłaby ją głuchą na najusilniejsze przedstawienia.

W czasie kiedy uwagi podobne przechodziły przez głowę, poważny głos nieznajoméj nieprzerywając nici sztucznych mych kombinacyi ciągle obijał się o uszy. Co do doktora, starałem się go oszukać z najlepszą

wiarą; pragnąłem ubezpieczyć go przeciw własnéj słabości. Co do mnie, byłem zdecydowany.

— „A więc“ rzekłem do niéj „kiedy chcesz pani ażeby operacya się odbyła?“

Ona nie mogła zdecydować się na nic, musiałem więc sam sprawę całą na jakąś drogę wprowadzić. —

— „Jak długo ma pani zamiar pozostać w Paryżu?

— „O tyle tylko o ile opieka nad dzieckiem wyma-



Kaplica Zygmuntowska.

gać tego będzie. Jestem ubogą a życie w mieście drogo kosztuje; ale dla dziecka nic nie jest za drogie.“

— „W takim razie, jeżeli to jest możliwe, dobrze byłoby całą tę sprawę ukończyć w tym tygodniu.

— „Jakto tak.... Pan mówiłeś mi że to może.... Czyż chciał mię pan zwodzić?....

Akcent z jakim te wyrazy wymówiła a przedewszystkiem rozognione spojrzenie które mu towarzyszyło, nową mi persektywę otworzyło. Powierzchowny spokój téj kobiety mieścił w sobie naturę burzliwą i gwałtowną. —

— „Być może“ odpowiedziałem z wewnętrznem drżeniem „żem cokolwiek przesadził.“ Możemy i musi-

my go wyleczyć; ale są trudności których przed panią nietaję.“

Następnie starałem się z piekielną dyplomacyą przekonać i uspokoić kobietę, mogącą za najmniejszym powodem uciec mi z pod ręki. Odmalowałem jéj w kolorach jaskrawych wyegzaltowaną czułość doktora R.... nieusprawiedliwioną nieufność we własny talent i pomięszanie jakie zwykle niebezpieczeństwu towarzyszy.

— „Jeżeliby Pani opowiedziała mu o swoich cierpieniach, jak to przedemną uczyniłaś, w takim razie sparaliżowałabyś rękę mistrza i odjęłabyś mu siły potrzebne w podobnych razach. On by się nieśmiał dotknąć a ponim niktby nie miał odwagi wziąść się do dzieła przez niego opuszczonego.

Kobieta śledziła uważnie wyraz mojéj twarzy, którą starałem się nastroić jak najkorzystniéj.

— „Niech więc i tak będzie“ rzekła mi. „Pan musisz mieć racyę. — Dobrze, ja się nie pokażę pańskiemu zwierzchnikowi. Niechcę go widzieć w przód, aż nim decyzya niezapadnie, a nawet i potem, jeżeli to może mieć cel jaki; dziecię będzie dla niego dzieckiem, pierwszego lepszego przechodnia. — pan mu sam powiesz to, co będziesz uważał za właściwe.“

— „Bardzo dobrze“ odpowiedziałem“ jestem wdzięczny pani za okazanie tyle taktu i wyrozumiałości. Zechciéj pani przyprowadzić tu dziecię jutro...około godziny dziesiątéj z rana.“

Chwiejąc się na nogach i okrywszy się jakąś dziwną, anielską bladością, rzekła mi na to:

— „Ale pan nieprzypuszcza... nieprawdaż... pan nieprzypuszcza żeby już jutro operacya miała być rozpoczętą?“

— „Niestety pani!“ odpowiedziałem „niejesteśmy jeszcze do tego przygotowani. Poprzednio trzeba wiele formalności wypełnić, a to czasu wymaga. Ale to do pani nie należy. Proszę o przyprowadzenie dziecka jutro i zarazem żądam, ażebyś pani ufała moim chęciom stania się jéj użytecznym.“

Po tych wyrazach wstała. Mogłem — powinienem nawet był wzruszyć się wyrazem wdzięcznoćci i ufności jaką twarz jéj wyrażała — ale przyznam się że w téj chwili byłem bez czucia.

Niepozwalając dokończyć słów któremi mię żegnała, rzekłem:

— „Nie dziękuj mi pani, nie o jéj dziecku w téj chwili myślę, ale o tysiącu istot których cierpienia będą ulżone, jeżeli operacya dziecięcia pani wprowadzi nas na drogę szczęśliwych doświadczeń.

Niepoprawna matka odpowiedziała mi uśmiechem niedowierzania i na tem skończyła się pierwsza wizyta, po której oddałem się pracy w zupełnie nowem nastroju ducha.

Zbliżając się do doświadczenia tak niegdyś gorąco pożądanego, byłem z każdą chwilą więcéj nie swój, więcéj roztargniony i źle usposobiony — Zwykle byłem panem siebie — tym razem musiałem zmuszać się do uwagi przy pracy koniecznéj. — Ten nastrój gorączkowy tłomaczyłem usposobieniem chwilowem i w żaden sposób niechciałem widzieć przyczyny tam gdzie mi ją sumienie wskazywało.

II.

Dnia następnego, o godzinie naznaczonéj matka z dzieckiem stawiła się. Przypuszczałem, że z każdą chwilą niepokój jéj wzrastać będzie, tymczasem przeciwnie, nieokazała najmniejszego wahania się, najmniejszego żalu; obawa była bezzasadna, bo chęć probowania operacyi i wiara w moje rady w niczem nie osłabły. —

Kiedy dziecię do rąk mi oddawała, dziecię będące, że tak powiem jéj duszą, kiedy już w objęciach miałem ten lekki ciężar... wątły i drzący... kiedy drobnemi rączkami objęło mię za szyję, dziwne jakieś i dotąd mi nieznane uczucie w piersi zadrgało.

Bez straty jednéj chwili pobiegłem z dzieckiem do doktora R. Stary gaduła posadził je na kolanach, odgarnął z czoła złote włoski, wpatrywał się w oczy, pulsu dotykał i w końcu zadecydował, że próbowanie operacyi jest bardzo niebezpieczne. Dziecko tak wątłe przypłacić może śmiercią podobną próbę. —

W pokoju doktora znajdowało się przypadkiem jeszcze dwóch jego uczni, których o zamiarze moim uprzedziłem; ci właśnie w téj chwili z pomocą mi przyszli. Siłą uporu, siłą złych i dobrych dowodów, wymogliśmy w końcu przyzwolenie zwierzchnika. Nie wiem jakiemi argumentami posługiwałem się chcąc dojść celu, to wiem tylko, że doktór dał się przekonać, mając szczególnie wzgląd na przyszłe, pełne cierpień życie dziecka. — Egzystencya jego na ziemi byłaby prędzéj ciężarem niż dobrodziejstwem. — Tylko śmierć może zagładzić pamięć ciągłych cierpień jakieby życiu towarzyszyły.

Były to dowody które na poparcie moich twierdzeń stawiałem.

Otrzymawszy przyzwolenie, zdziwiony powodzeniem nieoczekiwaném, zaniosłem dziecię do sali audencyonalnéj w której matka nas oczekiwała.

— „Oto wracam pani dziecko“ rzekłem ocierając z potu rozpalone czoło „Tak jak powiedziałem, nie beztrudności udało mi się uzyskać pozwolenie.“

Ona oczekiwała mię przy drzwiach, wzięła dziecię ani słowa nie wymówiwszy, ale w zamian, ileż radości z twarzy jéj wyczytałem...

— „Tak więc w poniedziałek... o jedynastéj godzinie“... rzekłem znowu. „Dziś jest czwartek. Przez te trzy lub cztery dnie staraj się pani ażeby dziecko spokojne było. — Niech używa świeżego powietrza i pożywnego pokarmu. Oto doktór kazał mi wręczyć Pani“ dodałem wciskając w rękę pięć luidorów. „Jest to przeznaczone na wydatki konieczne... On jest bogaty i szlachetny... Możesz pani bez wyrzutu ofiarę tę przyjąć....

Zapewne pan odgadłeś, że pieniądze te z mojéj kieszeni pochodziły. — Ofiarowałym więcéj nawet, ale kieska początkującego doktora niezbyt była obfita.

Nagły rumieniec pokrył bladą twarz nieznajoméj.

— „Przyjmuję“ rzekła ze szlachetną dumą „przyjmują dla mego dziecka. W imieniu też dziecka dziękuję dobroczyńcy.“

To powiedziawszy zbliżyła się ku drzwiom otwartym, przez które z zewnątrz światło do sali wpadało. W promieniach światła łamiącego się przednią, ukazała mi się w całéj piękności. Zgodność linii, czystość konturów, słowem wszystko było w harmonii żyjącéj — zdolnéj zadowolnić najwięcéj wymagającego rzeźbiarza. W téj chwili właśnie, poza jéj z dziecięciem usypiającem na ramieniu przypominała arcydzieła starożytnéj rzeźby, a tylko oczy duże, spokojne i jakby łzawe o życiu posągu świadczyły.

— „Więc w poniedziałek... o godzinie jedynastéj rzekła z przymusem“ Nie... pan mnie nie zwodzi.... Czyż nieprawda, niema niebezpieczeństwa?.... Przebacz pan mojéj słabości.... Teraz kiedy już wszystko jest postanowione serce musi zamrzeć... Nieprawdaż... pan niejesteś zdolny chcieć mnie zwodzić?... Wiem otem, że czasem są ludzie z twardem sercem; ale tym razem to niepodobne .. Mówiłam już panu i raz jeszcze powtarzam, że wszystkiem co tu na ziemi posiadam jest ta mała istota. Żadnéj innej nadziei... teraźniéjszość i przyszłość wszystko w niéj spoczywa. Przeszłość nie przekazała mi nic więcéj“

Te wyrazy mówiąc cisnęła dziecię do piersi i kryła je w fałdach czarnego szala.

— „Jeżelibym je utraciła“ mówiła znowu „pozostałoby mi tylko uczucie i myśl jedna... przekląć rękę która skarb mój wydarła!. Nawet by Bóg wysłuchał głosu matki zrospaczonéj. Osądź pan sam, czy mógłby znaleść się podobny człowiek!“

W chwili kiedy to mówiła, czoło jéj i oczy wyrażały dziwną groźbę. Ani na chwilę niechciałem okazać, że groźba ta domnie zastosowanie mieć mogła, ale mimowoli drzeszcz przeszedł przez wszystkie członki.

— „Pani!" odpowiedziałem „jeszcze masz czas wszystko cofnąć. — Wszystkie układy uważać możemy za zniweczone... Tylko... raz jeszcze przestrzegam, trzeba unikać wszystkiego coby mogło znerwować dziecko."

Na te słowa oczy matki zwróciły się ku dziecku, które usypiać zaczęło, co spostrzegłszy już ani głosem podniesionym, ani giestem żywszym nie przerywała spokoju jego. Pochyliła głowę, zlekka przyłożyła usta do bladéj twarzyczki i parę słów pieszczotliwych z cicha wymówiła.

Zdawało mi się, że słyszę z pod białéj piersi matki w takt bijące serce z biciem serca dziecka.

Chcąc nie miłą tę scenę zakończyć, wciąż trzymałem drzwi otwarte. Pani Bronisława.... (pod tem nazwiskiem przedstawiono mi ją w liście) zrozumiała widocznie giest mój i skinąwszy głową, ku schodom się zwróciła. Pomimo woli oczy moje jéj towarzyły. Z pod małego z krepy czarnéj kapelusza wystawały gęste sploty włosów a w ruchach tyle naturalnego wdzięku i harmonii, że wzroku odniéj zwrocić nie mogłem. Zdawało mi się żem patrzał na bladą, w czarnéj szacie Madonnę niosącą u łona dziecię, by je przed płótnem Rafaela złożyć.

Na skręcie schodów zatrzymała się... zwróciła głowę... i podniósła oczy ku mnie. Dziecko toż samo uczyniło. Oboje w tem położeniu kilka sekund pozostali. Ileż razy, we snie i w samotnych rozmyślaniach grupa ta staje mi przed oczyma!.... Ah! tych dwóch spojrzeń kiedyż zapomnę?!...

Za chwilę zniknęła i jam wrócił, ale wszedłszy do sali znowu wracałem z obawą ujrzenia... co mówię, z nadzieją... Tym razem już jéj nie było. —

KORALE I WYSPY KORALOWE.

(Urywki z pamiętników naturalisty).

...Przepływamy równik!... pierzchliwe bałwany morskie oddają sobie lekki nasz statek, który nie płynąć, ale się ślizgać zdaje po ich nierównéj, falistéj powierzchni.

Słowami poety:

„Bywaj mi zdrowy kraju kochany
Już w mglistéj nikniesz powłoce;
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świegoce."

żegnamy półkulę, na któréj pozostawiliśmy wszystko, co było nam najdroższe — to wszystko, cośmy ukochali sercem młodzieńczém, zacząwszy od garstki ziemi kryjącéj popioły zmarłych, aż do tych, co tam żyją, tęskniąc za oddalonemi.

Dziwna to natura człowieka! Domową strzechę, gdzie w znoju, w trudach, lecz spokojnie pędził życie, rzuca młodzieniec... wyrywa się z objęć kochającéj matki, lubych siostr i spragniony pędzi pod obce nieba; śród niebezpieczeństw i burz życia spieszy szukać nowych wrażeń, lub świeżych laurów do wieńca mądrości!

Spojrzałem na niebo: było czyste i równe jakby je kto wygładził. Morze łagodnie odbijało blaski południowego słońca; statek lekko kołysał się po falach. Spojrzałem w twarz kapitana: była spokojna, radością rozpromieniona; a jednak strumienie wody zléwać się nie przestawały. Skrzyp pomp wtórował śpiewowi dziwnie postrojonych majtków. Pojąłem: był to chrzest marynarzów pierwszy raz przebywających równik, była to uroczystość Neptuna. Dziwny i fantastyczny zwyczaj, tak stary, jak starem jest panowanie człowieka na tych równika wodach, nic dziś nie stracił na swéj oryginalności i jest jedną z piękniejszych kart w dramacie, którego tak często sceną jest pokład okrętu, świadkiem niebo, a rozwścieczone żywioły groźnemi działaczami.

Lecz cokolwiekby scena pokładu przedstąwiała... czy wesołą uroczystość, czy najstraszniejszy koniec dramatu, gdzie wszystko ginie w modrych oceanu głębiach, to jednakże okręt, puszczony raz na pełne morze, uchwyciwszy raz w swe szerokie żagle stosowny oddech wiatru, już posuwa się nieprzerwanym biegiem do naznaczonego kresu. I my więc suniemy po gładkich bałwanach morza daléj i daléj... a żeglujemy po oceanie, który tysiące najciekawszych przedmiotów i zjawisk ukazuje zdumiałemu oku naturalisty.

Ta wielka połać oceanu gdzie się teraz znajdujemy, przeciwlegla Niemcom i Polsce, a zatém położona na północ Nowéj-Holandyi, jest dla mnie szczególniéj ciekawą, zowią ją bowiem morzem koralowém. Tu korale, owe zwierzątka będące tak długo sfinksem dla naturalistów, wzniosły olbrzymie budowy ze swych mikroskopijnych domków. Wkrótce zwiedzimy owe ciekawe archipelapi wysp, jak bliżéj Nowéj-Holandyi położone Malediwy, Lakediwy, wyspy Hagos, Salomona, bardziéj zaś na wschód wyspy Kokosowe, a daléj na oceanie południowym oczekują Karoliny, Marszałkowe, Nizkie i Gilberta.

Lecz zanim to zobaczymy, spieszmy napokład; od przodu bowiem dają znać, że morze niezwykły w przedpołudniowéj godzinie i cudowny przedstawia widok. Tak, nie myliliśmy się, tu polipy rozportarły swe panowanie!

Nie mogłem pohamować wykrzyku podziwienia na widok obrazu, który się niespodzianie przedstawił mojemu wzrokowi. Gdymbym tego nie widział na własne oczy, z trudnością mógłbym uwierzyć opisom. Promień słoneczny, przedarłszy się do wnętrza głębi kryształowéj, ukazał nam kawałek najpyszniejszego ogrodu, na który złożyły się miliony drzew ubarwionych kolorami tęczy, w najrozliczniejszych odcieniach. Co za niewyczerpana obfitość i rozmaitość kształtów tych stworzeń! Ubarwienie tym kształtom towarzyszące niemniéj było rozmaite i czarujące; kolory żywo-zielony, niebieski i żółty mięszały się z sobą, przechodząc w odcienia żółte, czerwone lub złoto-pomarańczowe, miejscami połyskiwały kolory perły.

Nasyciwszy się dowoli tym czarownym widokiem, chciałem unieść upominek z przecudnych ogrodów Neptuna; lecz zaledwie siatka poruszyła wodę... wszystko znikło jak za dotknęciem czarodziejskiéj rószczki. Zostały tylko kształty ponure, po długiem zaś szarpaniu, wyciągnęliśmy kilka czarnych ułamków korali.

Natychmiast przyniosłem duże naczynie szklane, napełniłem je wodą morską i w niéj umieściłem owe odłamki korali. Po niejakiéj chwili, z wielkiém naszem ukontentowaniem, czarowne widowisko jakieśmy oglądali na dnie morskiém powtórzyło się w naczyniu, lubo mniéj świetnie, i nie tak fantastycznie. Tym sposobem po raz pierwszy zapoznałem się z żywemi polipami, temi pracowitemi robotnikami kuli ziemskiéj. Mając ich podostatkiem, powtórzyłem niemal wszystkie dotąd czynione z niemi doświadczenia i sprawdziłem podane spostrzeżenia. Oglądając korale, dziwiłem się niepoma-

łu, jak można było tak długo być w błędzie co do ich rzeczywistéj natury.

Zewnętrzny kształt korali, ich fantastyczne rozgałęzianie się kazało koniecznie uważać je jako rośliny morskie. Starożytność przyniosła nam to mniemanie, średnie wieki rozwinęły je i utwierdziły, i dopiero ostatnie czasy zaledwie zdołały wykorzenić ten stary przesąd i zarazem ustalić o nich rzeczywiste pojęcie.

Starożytni mędrcy, opiewając poetycznie naturę, uważali korale za rośliny, z niedołącznemi od takowego stanu cechami; przyznawali im więc giętkość i miękkość w morzu, a twardnienie czyli kamienienie przypisywali wpływowi powietrza. Tak Owidiusz w swoich przemianach powiada:

„Ootąd przeszła ta własność w nadobne korale,
I ledwie je powietrze świeżem przejmie tchnieniem,
Ziele w morzu, nad morzem staje się kamieniem."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

List Władysława Syrokomli do p. Pauliny Wilkońskiéj*).

Pani!

Winą nadziei, które my biedni ludzie lubimy sobie roić dla tego aby późniéj płakać po ich zawiedzeniu, winą mówię nadziei słodkiéj że będę w Warszawie tego lata — nieodpisałem na miły list Pani z dnia 16 kwietnia. Złorzeczę losom że mi téj radości odmówiły, ale w głębi duszy może i rad jestem, że jeszcze nie tak prędko moją facyatą odczaruję pochlebne dla mnie złudzenie łaskawych przjaciół-korespondentów. Większą połowę maja przesiedziałem w Wilnie, tak więc przeszła dla mnie bez poetyckich wrażeń, najpiękniejsza pora roku. Żelazna praca, i ciągłe deszcze trzymają mię wśród wioski daleko od natury; tylko czasem promienie różowe zachodniéj jutrzenki uderzą wieczorem w okna mojéj ciemnéj pracowni, oświetlą wielki obraz Jana Kochanowskiégo, mojego patrona, zawieszony obok biórka do pracy — wtedy to gody dla moich marzeń, ale tych godów tak nie wiele, tak są krótkie, że proszę się nie dziwić mojemu milczeniu. Pisać do dobrego Państwa postanowiłem sobie nie inaczéj, jeno w chwili swobody duszy, kiedy ta snadniéj wylewać się może, a w natłoku prac, interesów i kłopotów ziemskich niełacno o swobodę.

Jeszcze dobroć Pani przebaczy, że do księgi jéj wspomnień w téj chwili nic nie posyłam, jedna przyczyna, że w pracy i kłopotach nie mogę znaleść sam siebie. Kiedy to nastąpi? przeczuwam instynktem poety że chyba po otrzymaniu listu Państwa, bo podobne przyjemności duchowe zwykły mię elektryzować.

Piszę do Zawadzkiego, aby mi co prędzéj przysłał Wiązankę jak skoro się pojawi; czekam jéj z największą niecierpliwością. Dawno to już, dawno było, aby pismo zbiorowe skupiło w około siebie tyle wielkich imion. Gołuchowski, Kremer, Pol, Sowa, co tu gwiazd, co tu promieni błogich spadnie na ziemię, a wszystko dzięki zacnym chęciom, słodyczy i umiejętności przywołania do życia i pracy, słowem dzięki staraniom redaktorki.

U nas na Litwie straszliwa głuchota w świecie literackim, nie iżbyśmy się nie mogli zdobyć na jakieś tam objawy życia, ale cenzura, straszliwa, czyscowa cenzura, tłumi swą ciężką łapą każdy by najniewinniejszy oddech piersi. Jeszczeby pół biedy z surowością prawa, ale ciemnota, lenistwo i lękliwość cenzorów stawi nieprzebytą tamę pomiędzy piszącemi a publicznością. Księgarze mają stosy rękopismów, tysiące planów, ale straszliwy Muchin, zabija je, kaleczy, morzy. O tym naszym cenzorze możnaby jak o Fryderyku W. napisać całą książkę anekdot, on by je najnaiwniéj, sam, z zadowoleniem podoisał; ale kto się bliżéj z naszą cenzurą niezna, ten nie uwierzy, i weźmię te najautentyczniejsze anekdoty za nasze własne koncepta. Oto przykład jeden z tysiąca: w przedruku jakiejś poznańskiéj komedyjki kazał rozbroić jekiegoś tam myśliwca, na zasadzie że teraz nosić broni nie wolno. Sam jeden wyraz: burzliwy choćby oznaczał drożdże, nie podoba mu się jako rewulicyjny, i t. d.

Ale po co mam podobnego rodzaju wieści donosić z za Niemna? oto dla tego aby w Warszawie mniéj się gorszono, żeśmy w piśmiennictwie niedosyć postępowi, aby wiedziano, z czem my walczymy. Dziennika Warszawskiego o którym Pani wspomina, że dla mnie zbiera nieotrzymałem. Romanowicz po powrocie z Warszawy, nie pokazał się w Wilnie. Dobroć Pani wdzięcznem sercem przyjmuję, i abym na nią zasłużył — proszę Boga. Hrabia u nas obudził wielką ciekawość, ale... śmiało mówię nie wiele współczucia dla Dziennika. Opinia publiczna oburza się za jego artykuł Cywilizacya i Religia — i słusznie. Znamy już od dawna jego zasady (?) w téj mierze, więc się nic nowego z tego artykułu niedowiedzieliśmy; ale pytam na co igrać z opinią, na co wznawiać te drażliwe punkta, kto z Chrześcjan prawych uwierzy aby Bozka nauka Chrystusa stała na straży ciemnoty, i przewagi siły materyalnéj, kto nie wierzy w Ducha świętego dawcę oświaty, nauczyciela prawdy??? Lękam się aby ten i podobne artykuły hr. niezachwiały powodzenia Dziennika, tak dobrze z innych względów urządzonego. Daćby pokój tym tak zwanym kwestyom żywotnym, które niezhołdują zwolenników dla Jezuickiéj teologii, a w materialnych zasobach pisma, mogą przynosić uszczerbek. Tak mi się przynajmniéj widzi, tak wnoszę z tego co mi mówią i piszą, bo sam oprócz dwóch ciągów art. o którym mówię, Dziennika nie czytałem. W Wilnie i w Mińsku gdziem bawił przez całą wiosnę, ta gazeta jest rzadką jak kruk biały.

Czy nasz Moniuszko znanym jest Pani? czy bawi dotąd w Warszawie? z jakiem powodzeniem? pożegnałem go na wyjezdnem z Wilna ze szcerem życzeniem dobréj włoczęgi, i niewątpiłem że Warszawa, rada udzielać współczucie wszystkiemu co swoje, z otwartem sercem go powita. Czy tak było? Przerabiam dla niego Cyganów Kniaźnina do których muzykę dorobił; ale dla natłoku pracy, dla braku wolnéj myśl, niemogłem mu posłać do Warszawy librelto już w znacznéj części napisanego.

Po długich zwłokach, po z komunikowaniu się z Rom: Podberes: którego jeszcze 1 maja zastałem w Wilnie, w objęciach świętéj Inkwizycyi — przystępuję nakoniec do wydania całkowitego zbioru mych poezyj. Nabył je u mnie p. Zawadzki, i ma wydać razem z wiernym przerysem facyaty autora, w złym humorze, z powodu przeprawy w cenzurze jaką jego arcrdzieła odbyć musiały. Po wyjściu miło mi będzie przesłać Pani mą książkę, a tymczasem zamawiam sobie łaskawe pobłażanie.

Czy dawno Pług pisał do Państwa? zacny to człek, pryjaciel mój niemal od dzieciństwa, ale straszliwie niewyrozumiały, wciąż gniewa się że ja rzadko pisuję, chociaż Bóg widzi że mi na chęciach dobrych nie zbywa. Czytałem w rękopiśmie jego dobrą powieść Pan Marcin przeznaczoną do Wiązki, pisma zbiorowego które miało się wydawać w Wilnie, nakładem P. Joachima Berezowskiego, Macenasa-groszodawcy, ale jak słyszę projekt ten się rozchwiewa. Oczekuję u siebie na wakacye p. Wacł. Przybylskiego (Maciek Matewka), z zapasem najświeższych wileńskich wiadomości lirerackich, projektów, obaw, nadziei. Co osądzę być godnem udzielenia z tych nowin, nie zaniedbam umieścić w następnym liście, który iż rychléj nadejdzie, i sowiciéj Panią znudzi przyrzekam. Pełen czci i życzliwości

Syrokomla.

*) Jako przyczynek do biografii wieszcza litewskiego i jako charakterystykę czasu współczesnego, podajemy list ten dotąd jeszcze nie drukowany.

Szarada.

Pierwsze trzecie w polu będzie,
A wspak druga w liter rzędzie.
W czwartym piątym niekoniecznie:
I wygodnie i bezpiecznie.
Wszyscy w całym są dziś swiecie,
Więc i u nas ich znajdziecie.

(Rozwiązanie szarady w nr. 30: **Kurnik**.)

Korespondencya Redakcyi.

Panu Leonidasowi. Allegoryi wierszowanych już mamy do przesytu; musiałoby być coś bardzo udatnego! Inne rzeczy z wdzięcznością przyjmujem i opłacimy nie samą tylko prenumeratą: — mierne zaś i darmo za drogie. Panu S. L. w Krakowie. „Pierwsza miłość ucznia medycyny" zanadto medyczna i zbyt pierwsza. Wdowcowi za górami. Całą praktyczność sposobu pozbycia się adoratorów pięknéj żony oceniamy; wolimy jednak, gdy inicyatywa od saméj pani pochodzi. Panu Abdulowi na prowincyi, zagadka pańska podobną jest do niegdyś przez nas widzianego rebusa; były to psy pudle z przekreślonemi ogonkami; miały oznaczać, „pudełka." Panu H. H. w Berlinie. Przy szczęku oręża milczą muzy. —